

Zaraz po śniadaniu zadzwonił dzwonek u drzwi. To Tadek przyszedł zapytać, czy wyjdę na rower.

- Oczywiście, czekaj, zaraz przyjdę - odpowiedziałem i szybko wskoczyłem w trampki. Wziąłem klucz od piwnicy, zbiegłem na dół i wyprowadziłem swój rower przed bramę. Tadek czekał.

- Gdzie jedziemy? - zapytał. Po chwili wahania powiedziałem: - Może nad staw za przedszkolem.

- Dobra. I pojechaliśmy, najpierw ulicami a potem polną drogą wzdłuż opuszczonych pól, już nieobsiewanych przez rolników a jeszcze nierozrytych przez koparki i spychacze.

Osiedle na Piaskowej Górze dopiero rosło. Było kilka ulic, powstało już sporo bloków mieszkalnych: przy Mieszka I i przy Broniewskiego. Centrum osiedla przy ulicy Głównej dopiero powstawało. Tam, gdzie dziś stoi Szkoła Podstawowa nr 32 była jeszcze glinianka, staw, wokół którego rosły chaszczce przemieszane z resztkami żyta lub pszenicy po dawnych uprawach. Rzuciliśmy rowery i rozciągnęliśmy się na trawie nad wodą. Był piękny majowy dzień.

- Wiesz, że dzisiaj finisz będzie na stadionie? - spytał Tadek.

- Coś ty, a gdzie?

- Nie wiem dokładnie, nie słyszałem wszystkiego, w radiu mówili tylko, że jeżeli nie będzie ucieczki na trasie, to o zwycięstwie zdecyduje finisz na bieżni.

Nasza rozmowa dotyczyła największej majowej imprezy sportowej, czyli corocznego kolarskiego Wyścigu Pokoju. To był największy międzynarodowy, amatorski wyścig kolarski w bloku wschodnim organizowany przez największe gazety, dzienniki trzech sąsiadujących ze sobą państw: „Trybunę Ludu” z Polski, „Rudé Právo” z Czechosłowacji i „Neues Deutschland” z NRD. Organizatorami były też związki kolarskie z tych państw. Pierwszy wyścig odbył się w 1948 roku. Do 1951 roku odbywał się tylko na trasie Warszawa - Praga i Praga - Warszawa. Od 1952 roku, gdy dołączył związek kolarski NRD, wyścig odbywał się na trasie Warszawa – Berlin – Praga, (co rok rozpoczynał się w jednym z tych miast).

Tym wyścigiem żyli wszyscy Polacy; wszyscy chłopcy chcieli być jak Stanisław Królik, Gustav-Adolf Schur, Klaus Ampler lub Jan Smolik. Od początku lat siedemdziesiątych zaczęła się era Ryszarda Szurkowskiego i Stanisława Szozdy. Wszyscy chłopcy w moim wieku mieli rowery, nieważne jakie, lepsze lub gorsze, ważne żeby móc jeździć tak, jak ci nasi idole. Wśród młodszych dzieci bardzo popularna była zabawa w Wyścig Pokoju. Rysowało się kredą na asfaltowych chodnikach trasę wyścigu, po której poruszano się metalowymi kapslami od butelek pstrykanych palcami tak, aby nie wypadły z wytyczonej trasy. Trasa miała start i metę, była też podzielona na etapy. Jeżeli kapsel dotykał linii było w porządku, jeżeli wyleciał poza pas trasy, zawodnik wracał na ostatni zaliczony etap.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce nad stawem było już kilku chłopców. Dwóch się nawet kąpało, ale żółta woda i rozdeptana glina nie zachęcały do wejścia. Lepiej było posiedzieć lub poleżeć na trawie. Siedzący najbliżej zaczęli sobie żartować z mojego roweru.

- Patrz, patrz jaki wehikuł, to jeszcze jeździ?. Byłem do tego przyzwyczajony i nie dałem się sprowokować. Koledzy mieli różne rowery; wciąż zdarzały się jeszcze rowery pozostawione po wojnie przez Niemców, były też nowe, polskie rowery z „Rometu”, liczne były radzieckie „Ukrainy”. Najdumniejsi byli posiadacze wyścigówek, „Huraganów”. Mój rower był bardzo nietypowy - to fakt. Pierwsze, co rzucało się w oczy to duże koła i solidne różowe opony z fajnym, grubym bieżnikiem. Były nie do zardcia. Wiele razy dziurawiłem i łatałem czarne dętki, ale te różowe opony wytrzymały wszystkie nawet moje najdziksze eskapady. Skąd wziął się u mnie ten rower?. Już opowiadam.

To bardzo długa historia sięgająca swymi początkami daleko wstecz, aż do czasów drugiej wojny światowej i w odległe miejsca, gdzieś w departamentach Nord i Pas de Calais w północnej Francji. Tam jeszcze przed drugą wojną światową znalazła się rodzina mego ojca. Dziadek, małorolny gospodarz ze

wsi Sułkowice koło Myślenic, po pierwszej wojnie światowej został zwolniony z cesarsko-królewskiego wojska Franza Józefa I i nie chciał już uprawiać swoich morgów dalej klepiąc galicyjską biedę. W czasie wojaczki zobaczył trochę świata i przekonał się, że można żyć inaczej. Wyemigrował do Francji a po pewnym czasie, gdy już się tam urządził ściągnął do siebie żonę z dziećmi. Tak ojciec trafił do Francji. Po śmierci dziadka, mając zaledwie czternaście lat został jedynym mężczyzną w rodzinie; miał jeszcze cztery siostry. Chcąc, nie chcąc musiał pójść do pracy. Pracował w fabryce nawozów sztucznych; zaczął jeszcze za życia ojca, który mu tę pracę załatwił. Do tego jeszcze nadeszła wojna. Prawdziwa bieda zajrzała im w oczy, choć babcia robiła co mogła aby ich wyżywić. Ratowały ich hodowane króliki, zupę można było ugotować nawet z lebiody, ale po mąkę, po ziemniaki, marchew czy buraki trzeba było jeździć na wieś. W tym czasie bardzo pomocnym, wręcz niezastąpionym sprzętem okazał się rower. Tak, to był ten sam rower z różowymi oponami, który leżał obok mnie nad stawem na Piaskowej Górze. Aby zdobyć żywność trzeba było jeździć coraz dalej, w pobliżu górniczych miasteczek wioski były już ogołoczone, nic nie można było tam kupić ani zamienić na żywność. A kiedy po kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu kilometrach dotarło się do zasobniejszej wsi i zdobyło worek ziemniaków lub innego dobra, trzeba było wrzucić go na ramę roweru i z takim obciążeniem pedałować z powrotem do domu. Zdarzało się, że po drodze trzeba było w przydrożnym rowie wymienić przebite dętki na zapasowe, które zawsze miał ze sobą. W domu te przebite naprawiał przyklejanymi łatkami. Rodzina nie głodowała, ale ojciec z tego wojennego wysiłku dorobił się okropnych żylaków na nogach. Babka zmarła w czterdziestym czwartym, siostry powychodziły za mąż, ojciec nie bardzo wiedział, co zrobić ze sobą po zakończeniu wojny. Nastroje w koloniach (tak nazywano wtedy osiedla emigrantów) były dość radykalne. Delegaci powojennego rządu polskiego agitowali na zebraniach i wiecach zachęcając do powrotu do kraju. Ojciec uległ w końcu tym namowom, też chciał zacząć nowe życie w ojczyźnie, budować ustrój sprawiedliwości społecznej. Z jego opowieści wiem, że transport repatriantów jechał do Polski pociągiem trzy dni. Zabrał ze sobą dwie walizki, plecak i oczywiście niezbędną rower. Walizki można było przywiązać do ramy roweru i wygodnie go prowadzić.

Granice polską przekroczyli w Międzyzlesiu. Skierowano go do okręgu wałbrzyskiego. Tam kierowano repatriantów z północnej Francji, bo większość z nich stanowili górnicy potrzebni w kopalniach węgla kamiennego Zagłębia Wałbrzyskiego. W wałbrzyskich kopalniach brakowało ludzi do pracy, przez pewien czas zatrzymywano nawet niemieckich górników, nie pozwalając im na wyjazd do Niemiec (innych Niemców wysiedlano nie oglądając się na nic). Ojciec trafił do Gorc koło Boguszowa, gdzie funkcjonowały kopalniane szyby i koksownia. Przed wojną Gorce nazywały się Rothenbach, nowa nazwa wzięła się stąd, że po wojnie przesiedlono tam wiele rodzin z okolic Limanowej i Nowego Sącza, którym tutejsze krajobrazy przypominały opuszczone miejsca. Z kolei Boguszów do 1945 roku był Gottesbergiem, czyli Bożą Górą.

Ojca zakwaterowano w Gorcach, ale pracował w Wałbrzychu. Ponieważ nie był górnikiem nie poszedł do pracy na dole. Dostał robotę na bocznicę kolejowej przy kopalni „Victoria”, w wałbrzyskiej dzielnicy Sobięcina. Mógł tam dojeżdżać pociągiem i tramwajem z Wałbrzycha (to tylko dwie stacje i kilka przystanków), ale miał przecież rower, po co miał kupować bilety na pociąg i tramwaj. Codziennie dojeżdżał do pracy z Gorc do Sobięcina. Tylko zimą trzeba było korzystać z kolei. To niby tylko około 5-7 kilometrów, lecz to są jednak góry i trzeba było czasem mocno nacisnąć na pedały.

To w tym czasie poznał moją matkę. Ślub wzięli w kościele w Boguszowie, tam też znaleźli małe mieszkanie przy ulicy Stalina (obecnie 1 Maja), gdzie przyszedłem na świat.

Mając rodzinę, ojciec chciał więcej zarabiać. Ponieważ matka nie zgadzała się, aby poszedł do pracy pod ziemię przeniósł się do Huty „Karol”. Huta miała wiele oddziałów porzucanych po mieście. Najwięcej mógł zarobić pracując przy piecach hutniczych, trafił więc na wydział odlewni, która mieściła się wówczas w sąsiedztwie placu Marksa (dzisiaj jest to Plac na Rozdrożu). Zmienił nie tylko pracę, ale i miejsce zamieszkania.

Moja rodzina, powiększona najpierw o brata a potem jeszcze o siostrzyczkę, zamieszkała w wynajętym mieszkaniu przy peryferyjnej ulicy Ogrodowej na Szczawienku (dzisiaj to też dzielnica Wałbrzycha).

Odlewnia Huty „Karol” położona była prawie w centrum Wałbrzycha, Szczawienko położone jest na końcu miasta, przy drodze prowadzącej do Świdnicy i Wrocławia. Ojciec nie mógł już jeździć do pracy rowerem. Musiałby wstawać w środku nocy, aby tam dojechać na szóstą; dojeżdżał więc tramwajem a rower z różowymi oponami odstawił do komórki. Miał tam czekać aż urosną mu synowie.

W wieku pięciu lat miałem już swój pierwszy, dziecięcy rower, na którym szalałem po ulicy Ogrodowej. Nic tam prawie nie jeździło było, więc bardzo bezpiecznie i można było nieźle się rozpędzić lub ćwiczyć slalom pomiędzy dziurami i kałużami w drodze.

W sześćdziesiątym pierwszym roku przeprowadziliśmy się na Piaskową Górę. Dobytku, który ze sobą zabieraliśmy nie było zbyt dużo. Poza paroma podstawowymi meblami, narzędziami ojca i maszyną do szycia mamy, zabraliśmy oczywiście także rower, który przecież czekał aż do niego dorośniemy. Rostem szybko, kiedy jeszcze nie mogłem osiągnąć pedałów siedząc na siodelku, próbowałem, i to skutecznie, jeździć na nim mieszcząc się pod ramą. Odchylałem się nieco w jedną stronę a rower musiał być odchylny w drugą stronę. Byłem upartym dzieckiem, mimo częstych wywrotek udawało mi się w końcu jakoś w ten sposób poruszać i to nie tylko na krótką metę. Z każdym centymetrem wzrostu, a rostem jak na drożdżach, coraz lepiej dopasowywałem się do tego niesamowitego pojazdu. Wkrótce mogłem już jeździć stojąc okrakiem nad ramą a po jakimś czasie sięgałem już swobodnie do pedałów siedząc na szerokim jak łopata, porządnym, skórzanym siodelku na sprężynach. Bez przesady można powiedzieć, że prawie zrosłem się z tym rowerem. Poza tymi słynnymi różowymi oponami, z których koledzy najpierw się śmiali a potem nawet mi ich zazdrościli, miał też duże koła (większe niż w radzieckiej „Ukrainie”), mocny łańcuch i ramy w ładnym jasnoszarym kolorze ze znaczkiem w kształcie herbu na słupku lekko wygiętej kierownicy. Kierownica była lekko wygięta, ale nie w takie baranie rogi jak wyścigówki. Hamulce były na przednim i tylnym kole, do tego miał wygodne, szerokie siodelko. Nie miał przerzutek, ale mimo tego potrafiłem nim wjechać na wszystkie okoliczne górkę. Potrafiłem, wzorem tych podziwianych kolarzy z Wyścigu Pokoju, jeździć nim bez trzymania kierownicy, sterując tylko nogami. Na osiedlu była nas kilkunastoosobowa grupa chłopców z pokolenia z lat 50-55 i wszyscy szaleliśmy na rowerach. To właśnie wtedy często jeździliśmy nad ten staw za przedszkolem albo jeszcze dalej nad stawy przy dzisiejszej ulicy Długiej, gdzie zaopatrywaliśmy się w pożywienie dla rybek, zbierane z powierzchni wody za pomocą siatek zrobionych z matczyńskich pończoch zamocowanych drutem końcach długich kijów.

Tadek przeciągnął się, usiadł i zagadał:

- Niezła była heca z tym wyścigiem w sobotę. Nikt się nie kapnął, że pojechałeś skrótem.
- Chciałem Jarkowi zagrać na nosie. Myślał, że tym swoim Huraganem wszystkich wyprzedzi.
- Ale miał głupią minę jak zmierzaliśmy twój czas.
- No, było śmiesznie, może niepotrzebnie się przyznałem.

Chodziło o zawody, jakie urządziliśmy sobie w sobotnie popołudnie. W Wyścigu Pokoju były etapy jazdy na czas. Wymyśliliśmy, więc podobną zabawę na naszym osiedlu. Ulice Mieszka I, Piętnastolecia i Broniewskiego tworzą zamkniętą pętlę w kształcie prostokąta. To miała być trasa naszego wyścigu na czas. Startowaliśmy kolejno, pojedynczo, na dany sygnał, od którego zaczynaliśmy mierzyć czas. Ktoś przyniósł zegarek ze stoperem, więc pomiar był dość dokładny. Było nas ośmiu, między innymi też Tadek, ja i Jarek, dumny ze swego nowego „Huragana”. Startowaliśmy spod naszego bloku, po kilkunastu metrach skręciliśmy w ulicę Piętnastolecia, którą jechaliśmy aż do jej końca, do skrzyżowania z ulicą Broniewskiego, tam trzeba było skręcić w lewo i lekko pod górę dojechać aż do pawilonów sklepowych przy ulicy Mieszka I. Następnie trzeba było przejechać wzdłuż tych pawilonów najpierw

po płaskim a za zakrętem skręcić ostro w dół, aby dojechać z powrotem do naszego bloku z drugiej strony ulicy.

Czasy przejazdów były różne. Zdecydowanie prowadził jednak Jarek na swojej wyścigówce. Chcąc zrobić wszystkim kawał pojechałem skrótem, nie dojeżdżając do ulicy Broniewskiego skręciłem w wąską, boczną uliczkę wspinającą się wprost do pawilonów. Skróciłem sobie trasę o dobrych 300 metrów. Finiszując, zupełnie jak na Wyścigu Pokoju, puściłem kierownicę podniosłem ręce do góry w geście zwycięstwa. Jarek nie mógł uwierzyć, że go wyprzedziłem - przyznałem się dopiero po chwili, gdy już nacieszyłem się jego zdumieniem.

Eksploatowałem ten rower do granic możliwości. Podobnie jak inni koledzy nie miałem karty rowerowej (wymaganej przy jeździe ulicami) i zdarzyło się, że pewnego razu zatrzymał mnie milicjant- słuźbi- sta i zabrał rower na komisariat. Miał się po niego zgłosić ojciec. Na szczęście ojcem Olka, jednego z kolegów, z którym organizowaliśmy nasze eskapady, był też milicjant z tego komisariatu. Oddali mi rower i skończyło się tylko na strachu. Muszę uczciwie powiedzieć, że niezbyt o niego dbałem. Czasami tylko oliwiłem ośki i smarowałem łańcuch. Kiedy nie potrafiłem poradzić sobie z hamulcami, po kilku próbach naprawy, po prostu zostawiłem ich szczęki odciągnięte od opony i ze wstydem muszę się przyznać, że hamowałem przyciskając po prostu but do przedniego koła. Trzeba było to robić bardzo ostrożnie i z dużym wyczuciem, żeby nie wylecieć do przodu ponad kierownicą. Tylne błotnika już dawno nie było, ale to mi jakoś nie przeszkadzało, rower dzięki temu wyglądał bardziej sportowo. Błotnik nad przednim kołem był niepotrzebny, przeszkadzałby w hamowaniu nogą.

Poleżeliśmy sobie z Tadkiem na słońku dobrą godzinkę i ruszyliśmy do domu. Zajrzeliśmy jeszcze po drodze do sklepu, wypiliśmy z butelki „Ankę”, najlepszą na świecie wodę mineralną ze Szczawna Zdroju, i szybko wróciliśmy do domu. Zaraz po obiedzie miała być transmisja z kolejnego etapu Wyścigu Pokoju, a tego przecież nie mogliśmy przegapić.

.....

To były piękne, beztrudne lata. No dobrze, ale co było dalej, co stało się z tym oryginalnym rowerem? Jeszcze w ósmej klasie podstawówki jeździłem nim na obrzeża osiedla, żeby z dala od znajomych, po kryjomu palić pierwsze papierosy. Na pierwszy papieros namówił mnie wtedy kolega z klasy, wyróżniony drugoroczniak. Ponieważ po tych pierwszych papierosach trochę mdliło i kręciło się w głowie, trzeba było chwilę odczekać zanim pojechało się dalej.

Później, kiedy byłem już poważnym uczniem technikum coraz rzadziej siadałem na rower. W końcu przestałem nim jeździć. Wstydziłem się tak starego, zabytkowego sprzętu. Obawiałem się kpin rówieśników, szczególnie dziewczyn, na które wtedy zwracałem już większą uwagę. Do tego, poza nauką miałem cały szereg innych zainteresowań, nie było czasu na rower.

Ojciec używał go jeszcze od czasu do czasu do transportu ogródkowych zbiorów: ziemniaków lub marchewki. Jeden worek jutowy ładowało się pod ramię, drugi układało na ramie i w taki sposób można było przetransportować te zbiory do domu, gdzie umieszczało się je w piwnicy, w specjalnej, dużej skrzyni z piaskiem. Zdarzały się zabawne sytuacje, między innymi historia z gruszkami. Pewnego popołudnia przywieźliśmy z ojcem z ogródka dwa wielkie wory gruszek, które akurat doskonale obrodziły i nie bardzo było gdzie je w domu pomieścić. Świeżo zerwane, szarozielone gruszki były twarde i kruche, dopiero kiedy poleżały kilka dni miękły i robiły się niesamowicie soczyste. Kiedy poczęstowali- śmy nimi bawiące się w pobliżu dzieci, wieść o nich błyskawicznie się rozniosła i zbiegły się dzieciaki z całej okolicy. Pakowali gruszki do kieszeni, kilku maluchów przybiegło z miskami. Już nie mieliśmy kłopotu z nadmiarem owoców. Dobrze, że dla nas wystarczyło.

Pod koniec lat siedemdziesiątych rodzice opuścili mieszkanie w bloku przy ulicy Mieszka I. Dzięki dużej pomocy finansowej babki z Francji (ze strony mamy) mogli pozwolić sobie na zakup małego

domku w szeregowej zabudowie niewielkiego osiedla w okolicach Szpitala Górniczego. Przy domku był też ogródek, który z powodzeniem wystarczał na ich potrzeby. Ja opuściłem już dom rodzinny, brat z żoną został w mieszkaniu na Mieszka I a siostra przeprowadziła się wraz z rodzicami. Rower nikomu nie był już potrzebny. Brat go nie chciał a ojciec już go nie potrzebował. W końcu postawił go przy ścianie śmietnika. Na drugi dzień już go tam nie było. Zniknął, być może jeszcze się komuś przydał.

Stawiając go przy śmietniku ojciec stanął na chwilę, być może westchnął spojrzawszy na jego nieopatrzone różowe opony. Być może, wspominał też wszystkie minione lata, w ciągu których rower zawsze mu służył, będąc przydatnym nie tylko jemu lecz także jego dzieciom.

Sierpień 2022